ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 1. Maja 1892. **Nr. 9.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Taką rozmową bawił Dobek niemal co dnia panią swoją, ona go z tem do księcia odsyłała, książę słuchał cierpliwie, ale nie odpowiadał nic. Dobek nasyłał drugich, gotował, przysposabiał, lecz szło mu dotąd oporem.

Książę pilniej niż zemsty śledził nadchodzącej ponowy. Ani mu Połowcy, ani posły od Cesarza tak nie byli pożądanymi jak śnieg. Nareszcie jednej nocy doczekano się pożądanego mrozu, a w parę dni śnieżnicy wielkiej, która ziemię na stopę pokryła białym całunem. Zdawna, wprzódy nim tu spadła ponowa, przybywający od Szlązka i Pomorza donosili, że tam już nastała zima i sanna.

Holsza przybiegł z dobrą nowiną. Jednej godziny wszystko było na nogach, książę zapomniał nawet oznajmić się żonie, chodził po izbach i gnał łowców swoich.

— W las! w las!

Biegała czeladź, rozrywali się wszyscy, księciu jeszcze zdawało się, że za powoli chodzili. Gniewał się i chmurzył, burcząc nawet i wydając groźne rozkazy. W tem jednem miał stanowczą wolę swoją, tu mu się sprzeciwiać nikt nie ważył.

Przybory te zobaczywszy posłała pytać Agnieszka.

— Na jak długo i dokąd się książę wybiera?

Władysław aż się rozsierdził.

— Nie wiem! — krzyknął — kto na łowy jedzie, nie może powiedzieć, kiedy powróci! a głupi, kto powiada dokąd? Gdzie oczy poniosą, kędy tropy poprowadzą!

Konie stały w podwórzach z jukami, z żywnością, psy skowyczały na sznurach, zwijał się Holsza. Na niebie jeszcze wisiał śnieg, ale powietrze było łagodne.

— W las! w las! — rozlegało się po podwórcach.

Księżna po wtóry raz posłała pytać, kiedy powróci, ale Władysław tak był już rozgniewany, że nie szanując posła małżonki, odpędził go fukaniem i groźbą. Sam jednak poszedł do Agnieszki, już w kożuchu i kołpaku.

Otworzył jeszcze drzwi mężnie, a na progu cała odwaga go odpadła.

— Przychodzę żegnać — rzekł łagodnie — bo oto bardzo pilna sprawa, ponowa! trzeba koniecznie w las, choćby życie dać!

— A kiedyż wracasz! — spytała żona.

— Któż to może wiedzieć! Bóg jeden wie! — ruszył ramionami książę. — Jeszczem nie jechał a już mam powracać? Może to być? Wy macie krośna i igły a ja łowy moje. Sprawiedliwa rzecz. Ja bez nich nie mogę żyć, to mój czas, to żniwo moje.

— A któż tu za was będzie sądzić i rządzić? — spytała księżna.

W tej chwili książę zdala głos nakazujący Holszy usłyszał, nie mógł już wytrzymać, ruszył ramionami i nieodpowiadając, drzwi zamknął. Szedł już.

— W las! — zawołał żywo dosiadając konia, jakby się lękał, aby go nie zatrzymano. — A no, w las!

Gromada książęca już wyruszała z dziedzińców zamkowych, gdy we wrotach spotkała orszak jakiś liczny. Byli to właśni posłowie księcia a raczej Agnieszki, powracający od czerwieńskich grodów. Książę uśmiechnął się im tylko, nie pytając nawet co przynosili, tak mu było pilno.

Żwawym kłusem ruszono od Zamku, przez podzamcza, aby coprędzej skryć się w lesie. Księciu paliły się oczy do puszcz i borów. Coraz to spoglądał na Holszę, a Holsza mu się uśmiechnął, to znów na tropy po śniegu. Ziemia usłana tym puchem świeżym bawiła go jak pisana karta.

Wjechali w las, książę oddychał.

Nad głowami gałęzie się siecią ciemną rozpościerały szeroko, a z nich niekiedy z szmerem tajemniczym zsuwał się powoli śnieg. Cicho było i spokojnie i jakoś miło. Na ziemi coraz częściej plątały się zwierza ślady, porysowane na wsze strony. Tam zdradził swój pochód lis, choć tropy zacierał ogonem, tu poznaczył drogę zając, wycisnął łapy niedźwiedź spłoszony z barłogu, i poćwiekował śnieg jeleń. Na dębach krakały gałki i kruki. Czy życzyły dobrej, czy prorokowały złą drogę? Któż to mógł odgadnąć?

Holsza pomrukując coś, puścił na nich strzałę do góry i stado całe zerwało się trzepocząc skrzydły, wrzeszcząc wróżby swoje na lasy, na bory. Głos ich cichł coraz w dali i z szumem drzew zlał się w jeden smętny szmer spokojny.

— E! lasy wy moje, lasy! — westchnął do siebie Władysław — w was człowiek o wszystkiem zapomni! I tyle życia, co w lesie!

VII.

Petrek u ognia siedział w izbie swej, gdy mu o gościach znać dano. Jechała pod wrota gromada jakaś znaczna, a nikt powiedzieć nie umiał, kto oni byli? Wiedzieli wszyscy, że ludzie musieli być dostojni!

Kupa jezdnych, łowczych, psów, czeladzi stała już u wrót samych dworca i trąbiła, aż się rozlegało. A trąbili też jakoś dziwnie, nie tak jak druch i człek równy, ani tak jak człek mały a pokorny, nawet nie tak jak ks. Janik, gdy bywało z sobą Petrka na łowy wyzywa. Trąbili jak pan na pachołki swe, rozkazująco, gwałt czyniąc we wszystkie rogi, i nie bojąc się gniewu Palatyna. Aż powybiegała cała służba i koniuszowie a nakoniec i młody Światosław wyjrzał. Ten, gdy stojących u wrót zobaczył, pędem pobiegł do ojca, a wrota kazał coprędzej na oścież otwierać.

Gromada się w nich zatrzymała, i trąbiła ciągle na schwał, nie wjeżdżając w podwórze, trąbiła aż się echo na miasto trwogą rozlegało.

— Miłościwy panie a ojcze — zawołał Petrek, wybiegając — nie czyńcież mi też sromu, gdyście na progu, zajedźcież do sługi swego, nawrócić ludziom każcie! Niech się konie najedzą, niech się czeladź pańska napije, ty, panie spocznij! Proszę a proszę!

Książę Władysław był bardzo dobrej myśli.

— Koniom nie czas jeść, ludziom nie trzeba pić, ja nie chcę spoczywać! Każcie tu tylko wynieść kubek, abym za zdrowie wasze go wypił, a siadajcie

sami na koń, na łowy ze mną! Czas! czas! szkoda takiego czasu! Pojedziesz Petrek ze mną, i ty i łowcy twoi, i psy i wszystko.

Zawahał się nieco Palatyn, coś go w serce kolnęło, jakby sztyletem! Poco cię pan chce brać z sobą? On, co się niedawno gniewał, co tak bardzo teraz na ciebie łaskawy?

Obejrzał się po łowczych towarzyszących panu i nieprzyjaciela głównego między nimi nie zobaczył, mężnym też był, trwogi po sobie okazać nie chciał.

— Petrek! na koń! słyszysz! — powtórzył książę wesoło.

— Koń i ja pójdziemy z miłością waszą na koniec świata — odparł Palatyn — ale, wstąpcież choć na próg mój, abyście mi serce ojcowskie okazali. Nieboszczyk rodzic wasz nie jeden raz bywał i zasypiał u mnie, chlebem sługi swojego nie gardził.

Zawahał się coś książę, i pochylił do ucha Petrkowi.

— I wjechałbym i jadł i spał u was — szepnął, a no wrogów macie, co was oskarżają. Gdybym u was sprawiał gody, mówiliby na mnie, żeście ujęli sobie księcia a odwrócili go... Jedźno ze mną, jedź, na łowach w lesie gdzie drzewa jeno słuchają, lepiej się rozmówić, niż we dworze, gdzie ściany uszy mają, a okna gęby. Nie zsiądę do was, ty wsiądź do mnie.

Petrek wiedząc, że go nie zmoże, skinął na Ochmistrza swego, ten, choć mu nie rzekł nic, zrozumiał wszystko. Wnet Światosław stanął na miejscu ojca z głową odkrytą, za uzdę podtrzymując konia książęcego. Petrek poszedł podpasać się, wziąć kopak, oręż i sokoła. Konia swego prowadzić kazał i dwudziestu łowczym, psiarzom, naganiaczom, stanąć a psy prowadzić co najlepsze.

Książę ciągle na koniu siedział. Wtem z otwartych wrót począł wypływać jakby uroczysty pochód jaki. Przodem Ochmistrz z laską złoconą w ręku, za nim rzędami dwiema czeladź Petrkowa postrojona, na misach i deskach malowanych, na tarczach nawet niosąc kubki, jajka, napoje, chleby. Koniuszowie na płachtach szkarłatnych dźwigali obroki dla koni, w kubłach kowanych nieśli wodę, tak, że książę nie zsiadając mógł na siodle posilić się, napić, a koniom dać przetrzeć zęby i ugasić pragnienie.

Z twarzy pańskiej widać było, że po troszę rad był gościnie, a trochę też może zazdrościł tej zamożności poddanego, który mógł go przyjąć jak książę udzielny, na srebrze, na złocie, z posługą tak liczną, przyodzianą i świetną, nad którą piękniejszej w Krakowie nie było.

Popatrzał książę i na pięknego młodziana co mu konia za uzdę trzymał, syna takiego nawet zazdroszcząc Petrkowi!

Wtem wyprowadzona konia Palatyna, Sokoła, który do łowów umyślnym był, dzielne stworzenie z nozdrzami krwawemi, z chrapami czarnemi, okrytego srebrzystą sierścią lśniącą, z ogonem i grzywą wlokącemi się po ziemi.

Wyprowadzono psy Petrkowe po dwa związane, tak silne i tak wykarmione, a tak wesoło podskakujące i skomlące, że aż miło było spojrzeć na nie.

Książę konia i psów trochę mu pozazdrościł.

Łowcy też i przybory myśliwskie, pańskim doborem i liczbą nie ustępowały.

— Dobrze się dzieje Petrkowi! — myślał książę. A wtem i Palatyn się ukazał w prostym kożuchu i czapce baraniej, z torebką przez plecy.

— A cóżeś to, jak dziad co chodzi za jamużną, wór przewiesił przez plecy! — rzekł książę śmiejąc się — alboż to do noszenia sakw za sobą nie masz ludzi?

— Miłościwy książę — odparł Petrek — taki ja od wieków zwyczaj mam, gdyżem na łowach gorący. Odbiję się od ludzi, zapędzę w las, nie chcę głodem mrzeć, zawsze więc jaki taki kawał mięsa i chleba przy sobie noszę.

Konie jadły jeszcze, ludzie pili, gdy książę już usta otarłszy po kubku wina, trąbić kazał i sam wołał niecierpliwie:

— W las! w las!

Petrkowi łowce niechaj prowadzą! gdzie wiedzą że najwięcej zwierza i uciechy, gdzie ostępy pełne, abyśmy z próżnemi rękami nie powracali! W las! w las!

Nigdy jeszcze tak wesołym księcia Władysława Petrek nie widział, ani tak ze sobą poufałym, ni tak dla siebie dobrotliwym. Ani go mógł teraz poznać po tym, którego ostatnim razem spotkał na krakowskim zamku. Ruszyli więc do najbliższego lasu gościńcem przez groblę Glinianą, ale księciu się wnet sprzykrzyła droga bita, kazał nawracać w gąszcze coprędzej, ludziom się wielkiem kołem rozsypać na prawo i lewo, iść cicho, a gdy zabiegną, dopiero w trąby i rogi bić, zwierza napędzać.

Dzień chmurny był a łagodny, niebo ciągle się trzymało szare i smętne, śnieg się z niego zapowiadał a nie sypał. Ledwie w gąszcz wjechali, gdy tuż jeleń pomknął, a psy za nim, a książę za niemi, a Petrek za księciem. Ani oszczepu ni strzały nie było puścić sposobu, psy go oskoczyły i przytrzymać chciały, to się im rogami obronił, kilkoro ich poprzebijał, odskakiwał i gnał dalej na las, na gąszcze.

Petrkowi nie o jelenia szło, ale o pana, więc zapomniawszy zwierzęcia, jego ści-



WYBUCH DYNAMITU W PARYŻU. (Zobacz artykuł na str. 137.)

gał, i wkrótce już dwu ich tylko samych było, bo reszta ludzi w tyle pozostała, zbłąkała się, rozpierzchła na cztery wiatry.

Książę zapalił się straszliwie, krzyczał na psy, przeklinał pustynię, sam siebie, a cudem głowy nie rozbił o gałęzie, konia o pnie nie rozdarł. Sam już nie wiedział, kędy go Chwat niósł, ani co się z nim działo.

W jelenia zrazu tylko patrzał, ale ten coraz pomykał dalej, dalej, aż ze psy zniknął im z oczu.

Władysław, zapominając się, klął straszliwie, psów gony ledwie już słychać było, jelenia ani ujrzeć, Petrek nie odstępując pana.

Zapędzali się tak coraz dalej w puszcze, zbaczając to w prawo, to w lewo, przez błota, zarośle i gęstwiny. Sami już nie wiedzieli gdzie byli, a książę się hamować nie dawał, prąc naprzód tak długo, aż się wreszcie zmierzchać zaczęło.

Ani ludzi, ni koni, ni psów i zwierza nie było ni widu i słychu. Władysław rwał się naprzód, Petrek gonił za nim.

Wreszcie i koń pod księciem, na lodowisku ślizkiem upadł, porwał się wnet, padł raz drugi, i już powstać nie mógł zdyszany. Petrek ze swojego zeskoczywszy, nadbiegł i Władysława z siedzenia pochwycił.

Obejrzeli się dopiero, że sami jedni byli, a noc nadchodziła.

Gniewny pan trąbkę zawieszoną na sznurze wziął do ust i począł nią gwałtownie przywoływać ludzi. Głos trąbki głucho się jakoś rozchodził i jakby w śniegach utopiony brzmiał słabo. Rogu grania las nie chciał powtarzać, nikt też nie odpowiadał na nie.

— Miłościwy panie, — odezwał się Petrek — konie zdajcie na mnie, mam przy sobie toporek zawsze, ognia jest czem naniecić, tu pod dąb na wzgórze pójdziemy, aliści doczekamy się ludzi. Od czasu do czasu nawoływać będę.

Książę zbity był bardzo i zmęczony, nie rzekł już nic, na wszystko się godził.

Petrek wszędzie i zawsze umiał sobie dawać rady; na jedną rękę cugle koni zarzucił, drugą księciu podał, aby się sparł na niej, i wywiódł go ze ślizgawicy pod dąb na wzgórze.

Tu wnet ze swojego konia kobierczyk jeden zdjął i na ziemi go rozesłał, konie powiązał i ustawił, sam, za toporek od pasa wziąwszy, począł gałęzie suche obcinać, chrust zbierać, suche liście odgrzebywać z pod śniegu.

— Miłościwy panie, — mówił do nachmurzonego księcia wesoło, — dobrze człeku i biedy czasem zaznać, potem wie, jak sobie w biedzie rady dać. Oto ja co ubogi byłem, dziś się bez sługi obchodzę, bo sam sobie posłużyć umiem.

Książę leżał na kobiercu i patrzał tylko, a już mu był ów gniew na jelenia i psy przeszedł i poczynał się uśmiechać. W puszczy mu tak samemu z Petrkiem, pod gołem niebem, na ziemi jeszcze ochotniej było, niż na zamku z mnogą czeladzią.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CO MI PO TEM!

Pięknież — ciepło — na Wołoszy!
Raj, — jak w raju tu rozkoszy,
Chleb bieluchny, pytlowany,
Winogrady jak burżany:

Co mi po tem! Co mi po tem!
Ja tu przybysz pod namiotem;
Wszystko dla mnie wstrętne, cudze,
Bo za Swoją skróź się nudzę!

U Wołocha — żona, dzieci;
U Wołocha — sad się kwieci,
Domek schludny i wesoły,
A gościnne, sute stoły:

Co mi po tem! Co mi po tem!
Ja tu przybysz pod namiotem;
Wszystko dla mnie wstrętne, cudze,
Bo za Swoją skróź się nudzę!

U Wołocha — dziwno trocha,
Dziwny język u Wołocha;
Ale ukłon grzeczny, niski,
Ciągły umizg i uściski:
Co mi po tem! Co mi po tem!
Ja tu przybysz pod namiotem;
Wszystko dla mnie wstrętne, cudze,
Bo za Swoją skróź się nudzę!

Daj-że Boże! daj mi proszę,
Rychło rzucić tę Wołoszę:
Daj mi orać swoją niwkę,
Ujrzeć swoją czarnobrywkę!
Niech-no ujrzę Ukrainę,
Raz na zawsze namiot zwinę;
Raz na zawsze jasne czoło,
Będę śpiewał — lecz wesoło!

J. B. Zaleski.

CO TO JEST ROK?

POGADANKA NAUKOWA.

Nam się tak zdaje, że cały ten ogromny Świat Boży naokoło nas się kręci codziennie. Naprawdę zaś cały ten świat, co nas otacza, stoji w miejscu, a tylko nasza gała (kula) ziemska się kręci zwolna i równiutko, a nieustannie, jakby na osi. Co 24 godziny ziemia robi jeden obrót; a przez ten czas my z naszym krajem to obracamy się do słońca — i wtedy mamy dzień jasny; to się znów odwracamy od słońca tak, że ziemia je zakrywa sobą przed nami i swym cieniem sprawia nam noc ciemną, podczas której widzimy tylko gwiazdy na niebie.

Ziemia okręcając się raz na dobę około swojej jakby osi od zachodu ku wschodowi, toczy się przytem ciągle naprzód i również ku wschodowi. Ale że słońce jej od siebie nie puszcza, więc ziemia zatacza się kołem, wciąż trocha w lewo, i po jakimś czasie, obiegłszy słońce wokoło, wraca do dawnego miejsca. Po czem jednak poznać to dawne miejsce? Po czem można zmiarkować, że ziemia obiegła już raz całą swą drogę wokoło słońca? Każdy z nas ma na to prosty i łatwy sposób, a jaki — zaraz zobaczym.

Słońce wraz z ziemią znajdują się w wolnej, pustej przestrzeni świata, otoczonej ze wszystkich stron mnóstwem gwiazd. Otóż ziemia lecąc przed siebie, po lewej stronie ma ciągle jasne słońce, a po prawej niebo ciemne i świecące na niem z bardzo a bardzo daleka gwiazdy.

My więc jedziem nieustannie w około słońca na naszej kuli ziemskiej niby na wozie. A w tej podróży coraz inne gromady gwiazd mijamy. Gdy naprzykład zaczynamy zbliżać się ku stronie gwiazd zwanych »babami«, to spostrzegamy je pod koniec każdej nocy we wschodniej stronie nieba. Po kilku miesiącach dojeżdżamy do takiego miejsca, że te »babki« widzimy codzień o północku wysoko na niebie, w stronie południowej; to znaczy, że właśnie przyszła kolejka mijać tę gromadkę gwiazd. Potem, jadąc dalej z naszą ziemią, pozostawiamy »babki« z tyłu, i na wiosnę widzim je tylko wieczorem w zachodniej stronie nieba. Tak jest właśnie teraz. Za kilka jeszcze tygodni zajedziemy na drugą stronę słońca. Wtedy »babki« dla oczu naszych zejdą się ze słońcem: my będziemy po jednej stronie słońca, a one po drugiej, tak, że razem z niem będą zachodziły i wschodziły. Wtedy więc już »babek« nie zobaczym. Lecz ujechawszy z kulą ziemską jeszcze dalej, znowu ujrzym »babki« pod koniec którejś nocy we wschodniej stronie nieba. Otóż poznamy po nich, żeśmy objechali słońce w koło i wrócili na to samo miejsce, z którego ujrzeliśmy też »babki« poprzednim razem o tej samej porze dnia i w tej samej stronie nieba.

Podobnie jak »babki«, podczas naszej jazdy w około słońca mijamy też i różne inne gwiazdy, tylko w innych miesiącach. Jeden taki objazd słońca

z powrotem do strony tej gromadki gwiazd, która nam świeciła na niebie w tem samem miejscu poprzedniego razu, nazywamy rokiem. Przez ten czas objazdu słońca, nasza ziemia okręca się 365 razy naokoło swojej osi; więc też tyleż razy zmienia się u nas dzień i noc w ciągu roku.

Więc cóż to jest rok? powiedz sam mój czytelniku, w jak najkrótszych słowach.

Rok — jest to nasz objazd na ziemi wokoło słońca.

Pomyśl tylko, co to za podróż my w ciągu roku odbywamy. Od nas do słońca najprostszą drogą jest 20,000,000 mil. Gdyby strzał mógł tak daleko nieść, toby kula leciała do słońca dłużej niż sto lat! My teraz stoimy tu, a za pół roku staniemy po przeciwnej stronie słońca, to znaczy o 40,000,000 mil ztąd licząc w najprostszej linii! Kula musiałaby lecieć do tego miejsca więcej niż dwieście lat, a my będziemy tam za pół roku. Jakiż to szalony pęd! I gdybyśmy tam jechali prosto... ale nie, my tam dojedziemy za pół roku zataczając ogromne półkole, więc droga nasza jest o wiele jeszcze dłuższa, niż linia, po której by kula leciała.

Droga, którą na ziemskiej gale odbywamy co rok wokoł słońca, wynosi przeszło 125,000,000 mil.

W godzinę, co koniem jedną milę ujedziesz, to ziemia nas przewozi dalej niż o 14 tysięcy mil. W sekundę zaś, co starczy człowiekowi na zrobienie jednego albo dwóch kroków, przejeżdżamy z całą ziemią 4 mile drogi!

Jedziemy więc nieustannie z taką szybkością, że pomięszało by się nam w głowach, gdybyśmy mogli ten pęd po ludzku odczuwać. A jednak nie czujemy wcale tej jazdy, nie doznajemy od niej ani zawrotu głowy, ani najdrobniejszego wstrząśnienia. Nawet powietrze od tego pędu się nie poruszy, najlżejszy wietrzyk nie wionie. Ha, bo wszechmocny Bóg tak doskonale świat nasz i ziemię stworzył, tak gładki i niepostrzeżony bieg jej nadał, a do tego taką siłą przyciągającą ją obdarzył, że w tym locie ziemia swe powietrze w zupełnym spokoju utrzymuje.

Ale ta szybkość biegu ziemi naokoło słońca nam ludziom wydaje się tak dziwną, prawie niepojętą, dlatego, żeśmy sami drobniutkie stworzenia, że przywykliśmy wszystko naszą miarą mierzyć i podług zwykłych naszych pojęć sądzić.

Gdybyśmy nie musieli po tej ziemi dreptać, a mogli sobie wzlecieć het gdzieś daleko, daleko w przestwór świata, o kilkadziesiąt milionów mil, i wzniósłszy się tak, z boku na słońce i zarazem na ziemię patrzeć, to szybkość jej biegu wcale by nas wtedy nie dziwiła. Słońce wydawałoby się nam ztamtąd tak małe, jak dynia, (więc prawie takie samo, jakiem się i tu na ziemi ono wydaje); ale ziemia ztamtąd wyglądałaby ledwie taka drobna, jak ziarnko prosa. Droga zaś jej, po której idzie naokoło słońca, zdawała by się nam też niedużą wcale. I rzeklibyśmy: toć to niewielka sztuka ziemi obejść tę drogę w ciągu roku całego. Nikt z nas jednak wznieść się tak i z boku na słońce i zarazem na ziemię spojrzeć nie potrafi. Na szczęście jest inny, a nawet łatwy sposób przekonać się o tem samem, cobyśmy z owego oddalenia widzieli. Jak wspominałem, gała ziemska przy słońcu znaczy tyle, co prosiane ziarnko przy dyni. Otóż znajdź gdzie pusty kawałek placu na ziemi, na środku wbij kołek, przyczep do niego postronek ze trzydzieści dużych kroków długi; na samym końcu tegoż postronka uwiąż patyk (drzazgę) i zakreśl nim na placu koło takie duże, jak się da. Obwód tego koła, o 30 kroków wszędzie oddalony od środka, będzie wyobrażał niby drogę, po której gała ziemska obiega słońce. Potem wyciągnij kołek ze środka placu, a na jego miejsce połóż dynię czyli banię, lub choćby głowę kapusty, czy coś innego tak dużego i okrągłego. To znów będzie niby słońce. Teraz na zakreślonym obwodzie koła połóż gałeczkę wielkości prosa, a takiego koloru, żeby ją było widać z daleka. Będziesz więc już miał i wyobrażenie ziemi, i możesz na ten niby świat z daleka, z góry popatrzeć

jak to on wygląda. Patrząc zaś, pomyśl sobie, że drobna owa gałeczka powinna posuwać się po okręgu koła z taką szybkością, aby za rok obeszła go i wróziemi, posunęło się o jeden cal, trzeba by czekać aż półczwartej godziny. Zatem posuwałoby się ono daleko wolniej, niż naprzykład wskazówki na zegarze.



DZIEWCZĘ NA MODLITWIE.

ciła na swe miejsce, gdzie obecnie leży. Rok ma 8,766 godzin, zakreślony zaś na twym placu obwód koła będzie miał do 2,500 cali. Z tego łatwo obliczyć, że aby ziarnko prosiane, naśladując bieg

Jeśli zaś bieg wskazówek zegarowych jest tak powolny, że go oko nasze nie dostrzega, to tembardziej nie moglibyśmy zauważyć posuwania się owego ziarnka naprzód po oznaczonej mu drodze.

Tak samo właśnie oko nasze nie dostrzegałoby wcale biegu ziemi po jej prawdziwej rocznej drodze naokoło słońca, gdybyśmy z oddalenia kilkudziesięciu milionów mil patrzeli na ten nasz świat ziemski. Łatwo też zrozumieć, że szybkość jej biegu przestałaby nas dziwić. Bieg ten wydaje się strasznie szybkim dla małego człowieka; ale w stosunku do takiej ogromnej gały, jak ziemia, jest on bardzo powolny i nieznaczny. Pomyśl sobie, gdybyś oto tak wybrał się w drogę i jechał nieustannie, ale z taką szybkością, że przez godzinę posunął byś się o jeden sążeń... Cóż, czybyś czuł taką jazdę? — Chybać nie. Otóż dla gały ziemskiej szybkość jej biegu w owej wędrówce naokoło słońca znaczy tyle, co taka właśnie jazda dla człowieka. *K. Prószyński.*

KRÓLOWO NASZA!

(Do obrazka: »DZIEWCZĘ NA MODLITWIE«.)

Matko! dla Ciebie wiosna skarby sieje,
I ziemię stroi w najcudniejsze kwiaty,
Słońce żywszymi blaskami jaśnieje,
I rzuca Tobie złoto i szkarłaty.

Wzlatując w górę ptak Ci pieśni śpiewa,
I strugi szemrzą tajemnicze słowo,
Modlą się cicho wody, ptacy, drzewa:
Bądź, pozdrowiona Matko i Królowo.

Gdy świat Ci cały hymny składa cześci,
Czyż serce ludzkie pozostanie zimnem?
Czyż tak od ciężkiej stwardniało boleści,
Lub tak jest głuchem a może i winnem,
Że w niebo wzlecieć nie może?

Nie może wylać to, co czuje w duszy,
Miłości oblec nie potrafi w słowa,
Już jej czarami swymi nie poruszy
Pełna uroków, cicha noc majowa,
Ni blaski świateł dokoła.

O Matko! miej litość nad dziećmi swemi,
Bo im tak źle o! bardzo źle na ziemi,
O Maryo! zmiłuj się!

Zetrzyj nam z czoła znamię cierpienia,
Daj chwilę ciszy i ukojenia,
I dobroczynną łzę.

Z Twojego tronu spojrz litościwa,
I jęk, co nam się z piersi wyrywa,
W nadziei zamień kwiat.

Królowo nasza! nad Twoim ludem
Wyciągnij rękę, — wybaw choć cudem,
Z niedoli długich lat.

Marya Sokolnicka.

DYNAMIT I DYNAMITOWCY.

(Z obrazkiem.)

Straszne są dla człowieka dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy, niedźwiedzie, hyeny i t. d. Straszne są dla człowieka gromy, burze, wichry, ogień, powodzie. Lecz najstraszniejszym, najniebezpieczniejszym, najdzikszym jest człowiek, jeżeli odpadnie od Boga, jeżeli idzie za swoją namiętnością, za złymi popędami natury zepsutej grzechem. Człowiek jest najstraszniejszym, ponieważ ma rozum, który go czyni wyższym po nad inne stworzenia, lecz który też go czyni niebezpieczniejszym od nierozumnych zwierząt i elementów, jeżeli go człowiek używa opacznie, przewrotnie, inaczej aniżeli chce Bóg, który dał człowiekowi rozum. Człowie-

kowi służą wszystkie siły natury, przyrody, Bóg go wyraźnie uczynił panem stworzenia wszego na ziemi, i może człowiek błogo działać za pomocą natury i sił jej, może użyć pary do machin, elektryczności do telegrafowania, ognia do kucia żelaza, wody do pędzenia młynów i t. d. Lecz może też człowiek za pomocą rozumu użyć sił natury na złe, może ogniem podpalać, prochem zabijać bliźniego, wodą zalewać urodzajne pola i łąki. Człowiek ma wolną wolę i tejże wolnej woli może użyć na dobro lub na złe, na pożytek lub na szkodę bliźniego i swoją.

Patrzcie na obrazek (na stronie 132) przedstawiający straszne spustoszenia domów zamieszkałych przez ludzi. Kto spustoszył te domy, kto nie pytał o to, czy przytem ludzie stracą życie, czy poniosą szkodę, czy się nie staną kalekami? Kto to uczynił? Oto ludzie stworzeni na obraz i podobieństwo Boskie, którzy jednak zapomnieli o tem i zrobili ze siebie obraz i podobieństwo szatana, niszczącego, mającego upodobanie w złem, w szkodzeniu bliźnim. Ludzie ci nazywają się dziś anarchistami, to znaczy burzycielami porządku. Chcą zburzyć prawo Boskie i ludzkie, wszelkie dzisiejsze urządzenia w rodzinie, gminie, państwie. Chcą oni niszczyć, bo budować nie umieją. Chcą zabijać, mordować, rabować, obalać wszystko.

Anarchiści są krewnymi socyalistów a braćmi nihilistów. Nigdy człowiek od razu nie staje się najgorszym; pijak, złodziej, od małego zaczyna a kończy na wielkiem. Podobnie dzieje się i z dzisiejszymi rewolucyonistami. Socyaliści chcą też przemienić i zburzyć teraźniejszy porządek rzeczy, lecz nie chcą używać do tego rozlewu krwi, może dla tego, że są za mądrzy, czują się za słabi. Anarchiści są niejako więcej gorąco kąpani, nie czekają, aż będzie tylu rewolucyonistów, aby stanowili większość i bez rozlewu krwi, bez zabójstwa i niszczenia zmienić wszystkie sprawy, lecz nie przebierają w środkach do celu, chwytają się wszystkiego, coby choć w części mogło zniszczyć i obalić to, co dziś stoi. Niektórzy też niszczą z upodobania do niszczenia, niszczą, bo to niszczenie im się podoba.

I tu człowiek stawa niżej, aniżeli zwierzę, które niszczy pole lub ogród, aby się najeść. Człowiek często niszczy i szkodzi drugiemu, choć nie ma z tego żadnego pożytku.

Paryż był zawsze miejscem rewolucyi i burzycieli. Tak i dziś anarchiści w Paryżu zaczęli swe dzieło, choć są oni i w innych krajach, w Hiszpanii, Anglii, w Niemczech, a nawet i u nas się pojawiają. Anarchiści czyli burzyciele w Paryżu źli na bogatszych, źli na rząd, źli na sędziów karzących rewolucyonistów, postanowili dynamitem burzyć pałace, gmachy publiczne, domy, w których mieszkają prokuratorzy i sędziowie. Udało im się niestety kilka domów zburzyć w ten sposób. Na szczęście mało ludzi zostało przytem pokaleczonych.

W innych krajach podobnie sobie postępują, a w Poznańskiem rzucają się na księży bezbronnych, którzy nikomu nic złego nie uczynili. Są to dopiero początki szatańskiego działania anarchistów, którzy nie szanując porządku i praw Boskich, nie szanują też porządku i praw ustanowionych przez ludzi.

Obrazek nasz przedstawia na wieczną pamiątkę, jak daleko złość ludzka sięga i jakby świat wyglądał, gdyby tacy ludzie, jak anarchiści wzięli górę, gdyby wielu takich było. Wtenczas rzeczywiście nie byłoby żadnego porządku, nikt nie byłby pewien swego życia ani mienia, na złe nie byłoby żadnej kary, żadne prawo nie miałoby szacunku ani znaczenia, każdy by robił, co mu radzi zepsuta natura, zemsta, chciwość i inne namiętności ludzkie.

Anarchiści używają do swych niecnych czynów dynamitu, który posiada własności prochu tylko jeszcze we wyższym stopniu. Dynamit jest dziś powszechnie znany, mianowicie górnikom, ponieważ dobre przysługi oddaje do łupania węgli, kamieni pod ziemią lub pod wodą.

Chociaż wielu zna dynamit, to jednak mało kto wie z czego się dynamit składa

i jak się robi. Niezawodnie i większa część górników tego nie wie, choć mają co dzień dynamit w ręku. Dla tego ku pouczeniu nieco napiszemy przy tej sposobności o dynamicie. Dynamit jest bardzo pokrewny nitroglycerynie, która się składa z kwasu saletrzanego, tryglicerydu, glonoiny i nitroleu. Do kurzącego się kwasu saletrzanego dodaje się mocnego kwasu siarczanego z glyceryną. Mieszaninę tę studzi się a potem płucze. Z tego powstaje olej żółtawy albo brunatny, bez zapachu, ze smakiem palącym, słodkawym. Olej ten jest trującym a para z rozgrzanego oleju sprawia ból głowy. Olej ten rozpuszcza się w alkoholu lub eterze, lecz nie we wodzie, w zimnie marznie i nie łatwo się zapala. Naczynie z nitroglyceryną możesz rzucić o kamień, a nic się nie stanie, lecz jeżeli mocno uderzysz w nitroglycerynę, to wybuchnie ze straszliwym hukiem. Mianowicie nitroglyceryna zmarznięta jest bardzo niebezpieczna. Nitroglyceryna zepsuta też łatwo wybucha. Nitroglycerynę polecił najpierw roku 1862 Szwed Nobel, który roku 1864 polepszył swój wynalazek, przezwał dynamitem i wprowadził w handel. Fabrykacya i przewożenie dynamitu jest bardzo niebezpieczne i już niejeden stracił przy tem życie. Na G. Szląsku jest fabryka dynamitu w Bieruniu. I tu przed kilku laty nastąpił wybuch, przy którym sam dyrektor stracił życie i tylko rozerwane resztki ciała znaleziono.

Ponieważ dynamit był pożytecznym do wielu rzeczy, mianowicie w górnictwie, dla tego szybko się wszędzie rozszerzył. W niektórych krajach zakazano go jednak ze względu na niebezpieczeństwa z nim połączone. Dynamit składa się ze 75 części nitroglyceryny a 25 części miałkiej kredowatej ziemi, z czego powstaje szaro-brunatna masa, jakoby ciasto. Dynamit nie wybucha przez uderzenie, można go też spalić bez niebezpieczeństwa na otwartem miejscu, tylko w ścieśnieniu wybucha z wielkim hukiem. Zwykle zapalają dynamit w sztuczny sposób. Przywiążą do naboju dynamitowego sznurek z pakuł, (w kopalniach, gdzie wilgoć wielka, z gutaperki), który zapalony zwolna się tli; gdy się dotli do masy wybuchowej, wtedy następuje wybuch. Nasi górnicy górnoszląscy znają się na tem, bo używają naboi dynamitowych do rozsadzania węgla. Wywiercą oni najprzód dziurę w pokładzie węgla, potem zasadzą w nią nabój dynamitowy i zapalą ów sznurek a potem w nogi jak najdalej. Wiele nieszczęść zdarza się w kopalniach z tego powodu, że górnik prędzej wróci na swoje miejsce, zanim naboje ze wszystkich dziur wystrzeliły.

CZCIONKA.

(POGADANKA SKŁADACZA LITER CZYLI CZCIONEK DRUKARSKICH.)

Czytałem gdzieś obliczenie, jaką przestrzeń wyniesie miliard rubli, którego pojedyńcze sztuki złota lub papierki ułożone będą w jeden stos, jedną wstęgę, ile mają wagi, ile koni potrzeba będzie na przewóz i t. d.

Jestto rzecz ciekawa, ale równie ciekawe mogą być cyfry otrzymane z przyjrzenia się skromnej pracy dziennikarskiej i głównego narzędzia jej, a zarazem środka oświaty, kawałka ołowiu, czcionki. Za podstawę do takiego obliczenia weźmy dziennikarza, który przez lat 25 pracując w redakcyi jakiego dziennika, pomieszcza w nim codziennie tylko 100 wierszy. Cyfra to średnia, są bowiem dziennikarze pracujący po lat 40 i więcej i drukujący po kilkaset wierszy dziennie.

Otóż dziennikarz piszący przez lat 25 dziennie po 100 wierszy, wydrukuje w przeciągu tego czasu (wyłączamy niedziele i święta ważniejsze) 840,000 wier-

szy, dla złożenia których potrzeba 26,880,006 czcionek. Cyfra ta, jako pojęcie oderwane, nie daje jasnego pojęcia rzeczy, niezbyt bowiem wyraźnie przedstawia się wyobraźni; ubierzmy ją zatem w formę więcej zrozumiałą. Czcionka drukarska we wszystkich prawie drukarniach ma zawsze jednę i tę samą wielkość wymierzoną dokładnie i to już od czasów Guttenberga, który, mówiąc nawiasem, dał formę jej w swem pierwszem wydaniu dzieł Cycerona, z którego to powodu pewien gatunek pisma nosi dotychczas nazwę »cycero.« Na jedną stopę wychodzi wzdłuż ułożonych 11½ słupków czcionkowych, a cały ich pas złożony z owych 26-ciu milionów, przeprowadzony po szynach kolei żelaznej lub po drucie telegraficznym zajmie długość 518 mil. Człowiek uchodzący 20 mil dziennie, na przebycie tej przestrzeni potrzebowałby 26-ciu dni prawie. Przy obliczeniu tem weszły w rachunek zarówno szerokie litery, jak w, m, jakteż i wąskie i, ale jeżeliby wszystkie bez różnicy litery przetopić tylko w literę i, oraz dodać do tego kropki, przecinki i inne znaki pisarskie i słupki, oddzielające jeden wyraz od drugiego, to wstęga ta będzie posiadała długości 2,905 wiorst (7 wiorst = mila.) Jak widzimy, cyfra to okazała!

A spróbujmy teraz zważyć te czcionki. Waga wszystkich w przykładzie przez nas przytoczonym wyniesie 93,333 funty.

Ułożywszy wszystkie te czcionki na płask, jedne obok drugich, możnaby pokryć trzy morgi pola.

Dalej, gdyby całą tę masę metalu można przetopić na pióra stalowe, z warunkiem, by z każdej czcionki zrobione było jedno pióro, to otrzymalibyśmy około 27-miu milionów piór. Gdyby urządzić kancelaryę, w której pracowałoby 100 pisarzów, a każdy z nich psułby jedno pióro na dzień, to piór tych wystarczałoby na 750 lat bezustannej pisaniny. Piórami temi możnaby zaopatrzyć po jednem wszystkich bez wyjątku mieszkańców Hiszpanii, Turcyi wschodniej, Rumelii i Grecyi.

Przejdźmy teraz do atramentu. W wadze aptekarskiej kropla wody waży jeden gram. Jedną kroplą dobrego atramentu można napisać trzy wiersze. W przykładzie naszym na napisanie 840,000 wierszy potrzebaby zużyć 280,000 kropli, co stanowi 49 funtów aptekarskich. Gdyby ilość tę atramentu można jakim sposobem zmienić na lekarstwo, i dawać je po 15 kropli na jedną dozę, to liczba ich wystarczyłaby do wyleczenia 17,000 osób chorych.

Podobnych przykładów możnaby przytoczyć jeszcze wiele, ale i te wystarczą, by przekonać się, że praca dziennikarska, o której wielu sądzi, że nie jest pracą, lub bardzo lekką, wykazana w cyfrach i w formie przemawiającej do wyobraźni, jest nawet pod samym tylko względem mechanicznym nie mniejszą od prac innych; (a nieraz cięższą. Przypisek redakcyi).

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Hm, hm; o tej sprawie myślę tak: Gdyby raz tak wypadło, żebym musiał być pożarty, to pragnąłbym, ażeby się dla dobra mego pana i pana Ryszarda stało. Ale dla przyjemności tych ludożerców, nie!

— Poczciwy chłopiec — rzekł rozczulony Fergusson.

Jazda szła w ten dzień dobrze a noc spędzono także spokojnie.

Nazajutrz powstał zaraz zrana wielki wiatr.

Balon rzucał się to ku północy, to ku południu i nie mógł natrafić na stały i równy kierunek.

— Jedziemy bardzo szybko — ode-



WŁOŚCIANKA Z UKRAINY.

zwał się pan Ryszard — ale mimo to nie jedziemy naprzód.

— A mimo to lecimy przynajmniej ośmnaście mil na godzinę, — odparł Fergusson. Patrzcie w dół, jak szybko znikają nam z oczu lasy, pola i osady.

Podróżni przyglądali się ciekawie niezwykłym widokom. Naraz Józef zawołał:

— Jakież to dziwne drzewo; u góry całkiem inne, niż u dołu! Tak się zdaje, jakby jedno drzewo na drugiem rosło.

— Tak też jest w istocie, — odpowiedział Fergusson. — U dołu jest wielkie drzewo figowe, na którego wierzchołek dostało się nieco żyznej ziemi. Wiatr rzucił w tę ziemię nasienie drzewa palmowego i z czasem z owej figi wyrosła, jak z ziemi, wysmukła palma.

— Piękna moda, — zaśmiał się Józef. — Gdy wrócimy do Anglii, zaraz spróbuję, czyby się i u nas takie podwójne drzewa nie udały.

W tej chwili balon nadleciał do lasu z drzew bananowych, około 300 stóp wysokich.

— Śliczne drzewa! — odezwał się pan Ryszard.

— Niezawodnie, że śliczne i wspaniałe, — odrzekł Fergusson, — lecz są jeszcze wyższe od nich. W Kalifornii natrafiono na cedr, 450 stóp wysoki. Dolny pień tego cedru miał w obwodzie 120 stóp. Uczeni przypuszczali, że liczy przynajmniej 4 tysiące lat.

— To zdaje mi być rzeczą naturalną, — wtrącił Józef. — Kto 4 tysiące lat żyje, ten ma czas zgrubieć.

Na sporą chwilę zapanowało milczenie w balonie. Przerwał ją wreszcie Józef, wskazując na niebo i mówiąc:

— Widzę gromadę wielkich ptaków.

Fergusson spojrzawszy przez dalekowidz, odrzekł:

— To orły! Niech nas Pan Bóg zachowa przed ich napadem. Są one niebezpieczniejsze dla nas, niż dzikie zwierzęta i ludzie.

— Dalibyśmy sobie z nimi radę, — pochwalił się pan Ryszard, wskazując na karabin.

— Kto wie? — odparł Fergusson. — Wierzę, że celnie strzelać potrafisz, ale zdaje mi się, że nie zdołałbyś jednak odpędzić tych drapieżnych ptaków od balonu. Pomyśl, jak łatwo mogłyby przedziurawić go dzióbem. A wtedy, cóżby się z nami stało?

— Nie mówmy lepiej o tem, — rzekł wstrząsając się Józef.

Około godziny dwunastej usłyszeli podróżni jakieś krzyki wielkie. Gdy spojrzeli na ziemię, spostrzegli, że toczył się tam zażarty bój widocznie między dwoma ludami. Walczących mogło być około trzystu; na polu bitwy leżało około stu zabitych. Kto wroga zwyciężał, dopuszczał się na nim okropnego okrucieństwa, że aż wstręt brał, gdy się na to patrzało.

— Zbiera mnie ochota, palnąć do nich z karabinu, — rzekł Ryszard.

— Daj spokój, — odpowiedział na to Fergusson. — Czy ty wiesz, która strona ma sprawiedliwość za sobą, a która nie? Możebyś twymi strzałami tym dopomógł, co powinni zostać pobici! Niech walkę między sobą toczą; nam nie mięszać się w ich sprawy.

Pan Ryszard zapatrzył się tak bardzo w dzikie widowisko, że nie słyszał przyjaciela i gdy spostrzegł, jak jeden z dzikich, który zdawał się być dowódzcą, znęcał się nad rannym, wypalił do niego z karabinu.

Gdy dziki rozciągnął się martwy na ziemi, podniosła jedna część walczących wielki krzyk, a druga rzuciła się do ucieczki. Balon począł się wznosić w górę. Ale podróżni spostrzegli, jak zwycięzcy rzucili się na poległych i dopuszczali się tych samych okrucieństw, jak przedtem ci, co uciekli. Pan Ryszard odwrócił się ze wstrętem, a Józef rzekł:

— Jedni tacy dobrzy, jak drudzy!

VI.

Dwa następne dni i dwie noce przeszły bez żadnej przygody. Rano na trzeci dzień zachciało się Józefowi spuścić się na ziemię, choć okolica górzysta i pusta była. Fergusson nie sprzeciwiał się temu.

Po godzinie wrócił, niosąc ze sobą kilka kamieni. Przypadkiem podniósł był jeden z nich i podpadło mu, że choć kamień nie wielki, bardzo był ciężki. Podał go swemu panu i zapytał o przyczynę.

Fergusson obejrzawszy kamień dokładnie, pokiwał głową i rzekł:

— Spuśćmy się wszyscy na ziemię, bo to są jakieś dziwne kamienie.

Gdy stanęli na ziemi, Fergusson brał kamień po kamieniu, kiwał głową i pomrukiwał, wreszcie rzekł:

— Przyjaciele! Wiecie na czem stoimy? oto na złocie!

— Co? Jak? — krzyknęli p. Ryszard i Józef.

— Te kamienie ciężkie, to kruszec złoty bardzo czysty i te wszystkie, które tu leżą, a gdybyśmy mieli czas kopać, tobyśmy się pewnie przekonali, że i pod ziemią jest złoto.

— Nie ma tedy rady — zawołał Józef — jak nabrać tych kamieni do balonu. Kilka milionów,... to zawsze piękny zysk i ładna pamiątka z podróży.

— Uspokój się Józefie i oddal te myśli — odpowiedział na to sucho Fergusson.

— Jakto?

— A jakże je zabierzesz z sobą? — mówił Fergusson dalej. — Przecie wiesz, że lot naszego balonu jest bardzo dokładnie obliczony podług mocy gazu. Jeżeli jeszcze coś do balonu włożymy, to nie ruszy się z miejsca.

— Więc te skarby mają tu zostać? — płaczliwie krzyknął Józef. — Ależ myśmy je odkryli, więc mamy prawo je zabrać.

— Józefie, czy cię ogarnęła gorączka złota? To wszystko marność przecie!

— Prawda, ale kilka milionków posiadać, to zawsze miła rzecz.

— Nie ma rady, nie ma rady — odrzekł Fergusson. — Pożegnaj się Józefie ze skarbami i dalej do balonu.

— Panie mój! Jest jeszcze rada — zawołał wtedy Józef. — Mamy przecie w balonie worki z piaskiem czyli balast. Ja wyrzucę ten piasek a w jego miejsce nakładę kamieni.

Fergusson uśmiechnął się na to i rzekł:

— Na to przystaję. Ale z góry ci zapowiadam, że jak przyjdzie pora, iż będziemy musieli balast z balonu wyrzucić, to te kamienie powędrują na ziemię.

Józef rzucił się co ducha do roboty; naznosił owych złotych kamieni do łódki balonu więcej, niż dawniej piasku było. Fergusson nie uważał na to, bo tymczasem rysował całą okolicę i znaki na mapie robił. Wreszcie powstał i rzekł do Józefa:

— Masz już dosyć złota?

— Jeszcze go nie dosyć, ale więcej już pewnie nie można naładować, choć szkoda!

Odczepiono kotwicę. Fergusson rozniecił płomyk gazowy i balon mógłby był już bujać w powietrzu, ale nie bujał i ani się ruszył. Fergusson wiedział dobrze, że Józef za wiele kamieni naładował.

— Józef!

Ten udał, że nie słyszy.

— Józef!

Teraz dał poznać, że słyszy, ale że nie chce zrozumieć.

— Józef! Bądź tak dobry a wyrzuć nieco twoich kamieni.

— Ależ panie — odrzekł Józef, — wszakże włożyłem je za waszem pozwoleniem?

— Pozwoliłem ci włożyć, ale tylko tyle, ile piasku było, a tyś więcej nakładł.

Józef spojrzał rozpaczliwym wzrokiem na p. Ryszarda, jakby się od niego pomocy spodziewał. Ale pan Ryszard nie śmiał sprzeciwiać się Fergussonowi. Nie widząc tedy innej rady, wziął Józef najmniejszy z kamieni, odważył go w rękach i rzucił z ciężkiem westchnieniem.

Balon się nie ruszył.

— Co to? — zadziwił się — jeszcze nie jedziemy?

— Jak widzisz, — odparł Fergusson. — Wyrzucaj tylko dalej.

Józefowi nie pilno było z wyrzucaniem a co kilka kamieni na ziemię cisnął, to wołał:

— Balon już leci!

Fergusson zaś na to sucho odpowiadał:

— Nie, jeszcze stoi. Wyrzuć więcej.

Gdy połowę wyrzucił wszystkich, które do balonu władował, balon się ruszył.

— No, jeszcze kilkanaście — z uśmiechem zawołał Fergusson, — a polecimy.

Wreszcie balon ruszył się do lotu.

— Józefie! — odezwał się Fergusson. — Jeżeli te kamienie, które jeszcze są w balonie, zdołamy dowieść do Anglii, to jeszcze będziesz bogatym człowiekiem.

— Gdybym miał i tamto — odpowiedział Józef smutnie, — byłbym jeszcze bogatszym.

— Patrz Ryszardzie — odezwał się Fergusson do przyjaciela, — co się to z naszego Józefa stało na widok złota. Jaki nieszczęsny wpływ wywiera ten kruszec nawet na najlepszego człowieka! Gdyby ludzie wiedzieli, gdzie te miny złota leżą, ileżby to obudziło namiętności, ile zbrodni wywołało! Niech lepiej tu w ukryciu spoczywają.

Wieczorem tegoż dnia znajdował się balon o 90 mil na zachód. Fergusson obliczył, że byli teraz oddaleni w prostej linii o 1400 mil od Zanzybaru, zkąd wyjechali.

Podróżni postanowili tę noc przepędzić w balonie, ale chcieli go o jakie drzewo zahaczyć, ażeby spokojniej ranka doczekać. Ujechawszy jeszcze kawał, postrzegli wielkie, ale jakieś smutne, prawie już uschłe drzewo. Zarzucili kotwicę i układszy się do snu, zasnęli snym mocnym.

VII.

Nazajutrz rano poczuli, że wielka parność wisi w powietrze. Choć jeszcze rychło było, słońce już silnie piekło. Balon wzniósł się wolno w górę i natrafił na wiatr północno-zachodni, ale słaby, ociężały, więc można było o nim powiedzieć, że nie leci, ale się wlecze.

Fergusson patrzał bacznie na wszystko, aż wreszcie rzekł:

— Przyjaciele! Niepodoba mi się ten wiatr i nie wróżę sobie z niego nic dobrego. Co zaś mi się jeszcze więcej nie podoba, jest to, że bardzo mało wody mamy, bo nie całe 14 litrów. Wody potrzebujemy nietylko do picia, ale głównie do podsycania naszego gazu. Spojrzyjcie na kraj, nad którym lecimy: pustynia bez drzewa, bez trawki, bez strumienia; piasek tylko i piasek. Niewiem, jak długo nad tą pustynią polecimy, bo wiatr lichy. Dla tego musimy sobie zapas wody podzielić tak, że trzecia część będzie nam służyła do ugaszenia pragnienia, a dwie trzecie części użyjemy na gaz. Nie wiele z tego będzie gazu i gdybyśmy dobry wiatr mieli, byłoby pół biedy. Lecz ten wiatr, ten wiatr...

— Długo nam wystarczy gazu z tej wody? — zapytał pan Ryszard.

— Mniej więcej na 45 godzin — odrzekł Fergusson. — Pojedziemy tylko dniami, bo w ciemności moglibyśmy minąć jaką rzeczkę lub bagno, nie spostrzegłszy go. Nie taję się przed wami, że położenie nasze nie jest pomyślne.

— Jak będzie, tak będzie — odezwał się Józef, — my wierzymy w mądrość naszego sternika i nie trwożymy się przed niebezpieczeństwami.

Cały dzień paliło słońce; pić się chciało wszystkim, ale odmawiali sobie i tylko niecoś wody każdy upił, byle w ustach sobie zwilżyć.

Na noc wstrzymali balon w powietrzu w wysokości 800 stóp nad powierzchnią morza. Noc przeszła spokojnie a podróżnicy po kolei spali.

Ledwie się świt zrobił a już też znowu nastało okropne gorąco. Mogli wprawdzie wznieść balon w górę i ujść przed gorącem, ale do tego byliby zużyli wiele gazu i wiele wody, a tego Fergusson dopuścić nie chciał. Więc trwali w gorącu, krzepiąc się tedy owedy kroplami wody. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Prawidła pisowni polskiej.

V. Rozdzielanie wyrazów.

Co do rozdzielania wyrazów zatrzymać z Gramatyki szkólnej Małeckiego, co następuje:

I. 1) Wyrazów jednogłoskowych pod żadnym warunkiem rozrywać nie można: a zatem źleby było, gdyby kto pisał: wzgl-ąd, mo-st, kar-k, zgie-łk, trza-sk.

Ponieważ więc na linii zapisanej pozostawiona być powinna przynajmniej jedna cała zgłoska, dlatego przyjęto też za zasadę, nie zostawiać na końcu zapisanego wiersza i przyimków w, z, np. w- Krakowie, z- Poznania, gdyż to nie są zgłoski; ale się pisze: w Krakowie, z Poznania i t. d. Chyba że wypadnie powiedzieć we, ze, wtedy można dzielić przyimek od rzeczownika, np. we-Lwowie, ze- Lwowa.

2) Wyrazy, mające więcej niż jednę zgłoskę, rozdzielają się zawsze w tych miejscach, gdzie nam poczucie dyktuje, że się ich poszczególne zgłoski ze sobą stykają. Poczuciem tem powinny kierować względy albo na złożoność wyrazu, albo na naturę zgłosek.

Wyrazy opatrzone na początku jaką przybranką, t. j. zaczynające się od bez (beze), do, na, nad (nade), od (ode), o, po, pod (pode), przed (przede), przy, u. we, ze, za — ob (obe), prze, roz (roze), wy, wez (wes), można rozdzielać albo w tem miejscu, gdzie się przybranka albo przybranki z głównym wyrazem stykają, np. prze-zwać, rozedrzeć, ob-u-marły; albo też w środku głównego wyrazu, n. p. obu-mar-ły, rozpa-trywać lub rozpatry-wać, westchnie-nie, oblę-żenie i t. d.

W pierwszym razie pamiętać zatem o tem należy, że nie można oderwanych końcowych głosek przybranki doczepiać do wyrazu głównego, ani też początkowych głosek wyrazu głównego doczepiać do przybranki. Mylnie zatem n. p. byłoby pisać: be-zcześcić, na-dmienić, we-zbrany, po-duczyć się, albo: przyl-gnąć, ul-żyć, obel-ga, przys-porzyć. Każdy bowiem czuje, że naturalny rozkład tych wyrazów jest jedynie taki: bez-cześcić, nad-mienić, wez-brany, pod-uczyć się — przyl-gnąć, u-lżyć, obe-lga, przy-sporzyć.

Wyjątek stanowią tylko wyrazy, jak odejść, podejść, rozum i od niego pochodne, które tak dzielimy: o-dejść, po-dejść, ro-zum, ro-zumny, ro-zumować i t. d., a to z przyczyny, że już zupełnie straciliśmy poczucie, iż to wyrazy złożone.

W drugim razie, t. j. jeżeli wyraz główny w pośrodku dzielimy, postępujemy sobie wedle zasad powszechnych, opartych na naturze głosek, o których rzecz dajemy poniżej.

3) Wyrazy, które żadnej przybranki przy sobie nie mają, albo które choćby też i miały przybrankę, rozdzielić nam wypadnie w ich drugiej (głównej) połowie, te rozkładają się na swoje części najnaturalniej w taki sposób, że zgłoska pozostawiona na linii zapisanej kończyć się powinna na samogłoskę, następna zaś zgłoska (przeniesiona na nową linią) zaczynać się będzie od spółgłoski.

Np. ro-sa, ro-zum, bia-ły, ma-ra, ko-le, pa-ni. gwia-zda, gę-sty, zi-mny. ogro-mny, ró-wny, go-dny, cia-sny, szczę-ście, chy-try, o-stry, o-strzyć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Olejek z łopionu na włosy.** Na wiosnę trzeba uzbierać korzeni łopionowych, oczyścić je ze ziemi, lecz nie płukać i ususzyć w cieniu.

Po uschnięciu pokrajać w cienkie plasterki, polać oliwą prowanską i ogrzewać tak łagodnie przez pół godziny; potem się oliwę zlaną cedzi przez płatek płócienny, gdy się ustoi i jeszcze przez bibułę przefiltrować można.

Kto chce może dodać olejku pachnącego.

Olejek taki przyczynia się do wzrostu włosów i jest nieszkodliwy; przechować go trzeba w ciemnem miejscu dobrze zakorkowany i brać tylko z niego w małą flaszeczkę do używania.

— **Masa do naklejania sukna na stołach.** 50 części mąki i 1 część sproszkowanego ałunu zalewa się 200 części wody i gotuje dopóty, aż masa nie zgęstnieje do tyle, że drewienko, drzazga wstawiona w nią, będzie stała prosto, nie przewróci się. Po wystudzeniu masę można używać.

— **Kit do szpar w podłogach.** Rozmiękcza się papier z gazet (makulaturę) w cieście, złożonem z $2^1/_2$ funtów mąki i 1 garnca wody, a następnie dodaje się łyżkę stołową ałunu. Masę dokładnie się miesza i wygotowywa do gęstości kitu, którym od razu można wypełnić szpary. Po pewnym czasie kit staje się tak twardy jak masa papierowa (papier maché). Dodanie pewnej ilości mielonego korka podnosi zaletę tego kitu.

— **Przechowanie chrzanu na lato.** Na wiosnę pokrajać korzonki chrzanu, ususzyć na piecu, utrzeć na proszek, wsypać we flaszkę i mocno ją zakorkować. Chcąc latem użyć tego chrzanu, trzeba skropić proszek na parę minut przed użyciem zimną wodą, skutkiem czego nabierze tęgości. Gotować go zwyczajnym sposobem.

— **Drób zabity** przechowuje się dłuższy czas, jeżeli się przed zabiciem piętnaście godzin już nie karmi i wewnątrz po wybraniu dobrze węglem drzewnym wypełni.

— **Sposób, aby kury przez cały rok niosły.** Wziąść dowolną ilość plew lnianych, ususzyć w piecu, umleć nieco grubo i umięszać z równą ilością pszennych otrębów i takąż ilością mąki żołędziej. Przylawszy do tej mięszaniny wody, robi się z tego ciasto, którem się kury pasie.

Rodzaj ten paszy bardzo je czyni nośnemi.

— **Czyszczenie tłustych butelek.** W tym celu nalewa się do flaszki nieco okowity i zwilża się nią całą, przez obracanie na wszystkie strony, poczem wsypuje się do niej węgla z upalonych kości (których się w drogeryi dostanie) i dodawszy wody, wstrząsa się mocno.

Z ogrodownictwa.

3. Ogród warzywny

(Ciąg dalszy.)

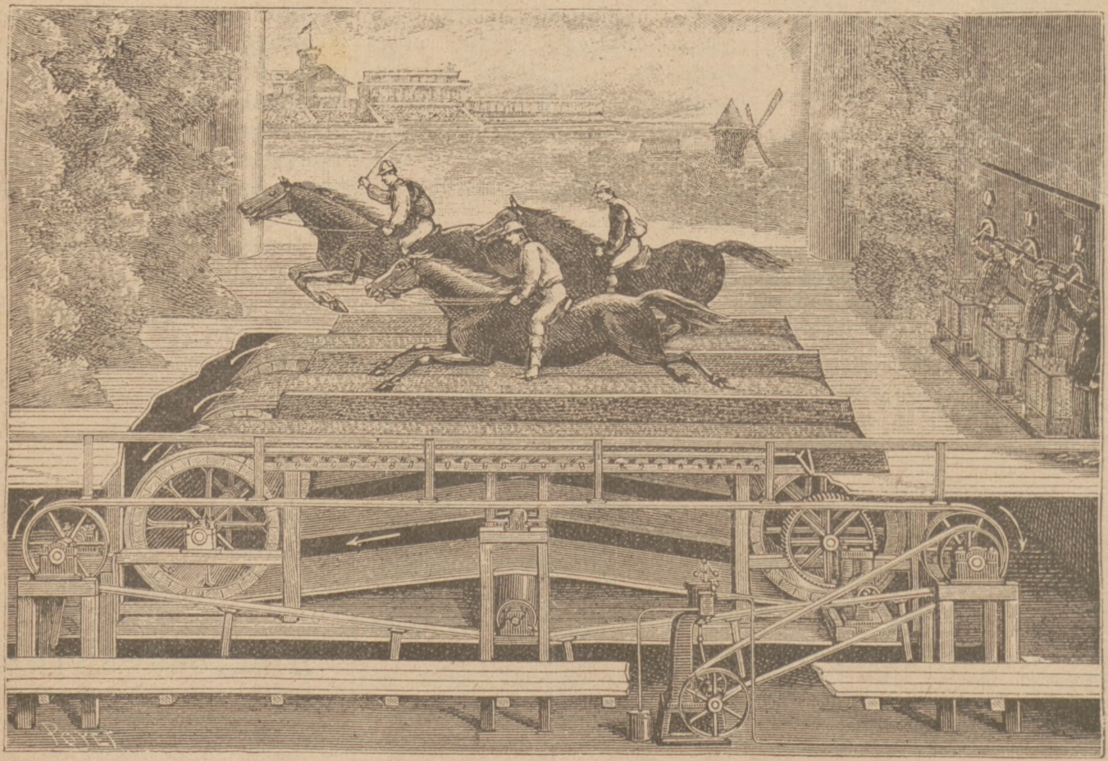
R z o d k i e w wymaga raczej gruntu lekkiego niż ciężkiego ale przytem żyznego, jeżeli ma być delikatna i smaczna. Nasienie wysiewa się rzadko w rzędach odległych na 20, 30 do 40 centymetrów (8, 12 do 16 cali.) Najwcześniej się rozwija rzodkiew majowa Wiedeńska, lecz ta bywa wtenczas tylko dobra, gdy wzrost jej jest szybki. Po

niej idzie długa różowa chińska, bardzo delikatna, soczysta i smaczna. Czarna długa lub okrągła letnia rzodkiew zasiewa się od początku do połowy Maja, czarna zaś zimowa Erfurtska dopiero w Czerwcu. Po niejakim czasie po wzejściu, rośliny się przerywają, aby pozostałe tem lepiej i bujniej rosły.

Burak ćwikłowy udaje się najlepiej w żyznym, głęboko spulchnionym gruncie. Nasienie wysiewa się rzędowo, w redliny. Po wzejściu, rośliny się przerzedzają, pozostawiając najsilniejsze. Wydobyte z ziemi młode roślinki można przesadzić, jeśli po temu jest miejsce; motykowanie i obradlanie jest koniecznie potrzebne. Przez zimę, aż do pory użycia, przechowują się po piwnicach, w piasku, podobnie jak marchew. Odmiany godne zalecenia są: czarno-czerwony długi Erfurtski, czarno-czerwony chropowaty (crapaudine.) Bardzo delikatny, chociaż nieco jaśniejszej barwy, jest t. zw. burak ogrodowy z Bassano. Inne nowe odmiany są następne: burak ćwikłowy »Viktoria« szkarłatno-krwisto czerwony, »Non plus ultra« średniej długości z ciemnym liściem‘ »Kronprinz« z miąższem karminowo-czerwonym.

Pory zimowe i letnie zasiewają się w skrzyniach, a potem przesadzają się do gruntu w rzędach na 15 centymetrów (6 cali) odległych. Letnie rozwijają się wcześniej, zimowe zaś utrzymują się w gruncie aż do wiosny.

C. Z pomiędzy roślin ogrodowych mało grunt wyczerpujących, wymienimy na pierwszem miejscu groch (Pisum sativum). Grunt pod zasiew grochu ogrodowego przeznaczony, powinien być skopany jeszcze w jesieni, albo wcześnie na wiosnę, skoro tylko ziemia odtaje i obeschnie. Chcąc mieć groszek zielony przez całe lato, trzeba go kilkakrotnie zasiewać co dwa lub trzy tygodnie. Ziarno zasiewa się w bruzdach rzędami, albo się sadzi w dołki na 15 do 20 centymetrów (6 do 3 cali) od siebie odległe. Groch stósownie do długości łodyg, może być albo karłowy, wyrastający zaledwie na 6 do 12 cali, albo tyczkowy z długiemi łodygami, którym dla dostatecznego oparcia dają się cien-



OSOBLIWOŚĆ SCENICZNA.

Najnowszą osobliwością sceniczną jest wywoływane przez specyalny przyrząd złudzenie optyczne, na mocy którego konie galopują przez kilka minut na scenie, mającej tylko kilka metrów długości. Wynalazek ten zastosowano w teatrze paryskim »Varietes« w sztuce »Paris port de Mer,« w scenie zawierającej obraz wielkich wyścigów. Na trzech koniach siedzi trzech żokejów, spinających rumaki ostrogami, jak do galopu, przyczem podłoga sceny, za pomocą olbrzymiego aparatu walcowego, poruszanego ściśnionem powietrzem, kręci się w kierunku przeciwnym biegowi koni. Jednocześnie dekoracye, przedstawiające okolice pola wyścigowego, poruszają się także i tak odpowiednio do biegu koni, że złudzenie jest w istocie zdumiewające. Scena ta stanowi główny punkt przyciągający w nowej sztuce.

kie z chrustu tyczki, po których pną się łodygi. Wolne miejsca pomiędzy rzędami grochu mogą być, jak już wyżej wspomniano, obsiewane sałatą.

Odmiany karłowego grochu są: groch t. zw. kukszpanowy, wyrastający na 6 cali; karłowy groch Biskupi, dochodzący dwa razy większej wysokości.

Z odmian tyczkowych można zalecić wszesne: Daniel O'Rourke, wyrastający na 60 centymetrów do 1 metra; poźne: dobrze znany zielony groch kaparowy. Mniej znane, ale bardzo zalecenia godne są odmiany z ziarnem pomarszczonem, Knight Marrow, dochodzący wysokości 1,50 do 2 metrów (5 do $6^2/_3$ stóp) i Peabody, nowa angielska odmiana, dorastająca tylko 40 centymetrów (16 cali) wysokości, oraz Laxton's Alpha, Laxton's Superlative, bardzo plenny o wielkich strączkach. Wilhelm I., wczesny, bardzo smaczny i plenny groch, oraz t. zw. »cudo amerykańskie« najwcześniejsza i najniżej rosnąca odmiana z pomarszczonem ziarnem.

F a s o l a podobnież jak groch uprawianą jest po ogrodach w nisko rosnących i pnących się po tyczkach odmianach.

Fasole w ogóle lubią miejsce osłonięte i ciepłe i grunt pulchny, ciepły więcej suchy niż wilgotny. Zasiew uskutecznia się na wiosnę dopiero wtedy, gdy już nie ma obawy nocnych przymrozków, odrazu na gruncie, rzędowo. Najwcześniejszy zasiew następuje w pierwszej połowie Maja.

Fasola tyczkowa powinna być, zaraz po wzejściu, opatrzona tyczkami długiemi na 9 do 15 stóp, po których pną się łodygi.

Zalecają się następujące odmiany fasoli karłowej: wczesna żółta, czarna murzynka, biała, krzaczysta szablasta, nowa cukrowa Schwanecke'go dostarczają grubego, pełnego ziarna, wczesna żółta »sto za jeden,« bardzo dobra na sałatę i do marynowania, najwcześniejsza długa krwisto-czerwona, delikatna z żółtemi strączkami, woskowa z białem ziarnem. Najplenniejszą jest nowa odmiana »Non plus ultra.« Białe odmiany dla tego uważane są za lepsze od kolorowych, że wysuszone lepiej się w zimie dają ugotować. Z fasoli tyczkowych wyróżniają się następujące odmiany: turecka płomienista, bardzo ozdobna, dla swych ognisto-czerwonych kwiatów, najwcześniejsza cukrowa, nadreńska olbrzymia cukrowa, rzymska woskowa z woskowo-żółtemi strączkami.

Oprócz wyżej wymienionych roślin i jarzyn jest jeszcze wielka liczba roślin tak zwanych k u c h e n n y c h, których właściwie nie powinno braknąć w każdym wiejskim warzywnym ogrodzie. Rośliny te objęte ogólną nazwą włoszczyzny stanowią niezbędną przyprawę do większej liczby codziennych potraw. Z pomiędzy nich najniezbędniejszą jest p i e t r u s z k a, roślina dwuletnia, zasiewana wcześnie na wiosnę rzędowo albo rzutowo. Używane są w kuchni jej listki i korzonki.

Zalecają się następujące odmiany: krótka gruba pietruszka (korzonki) kędzierzawa (listki); tej ostatniej ulepszony gatunek: Myats garnishing i mocno kędzierzawa z listkami podobnemi do paproci, pięknie wykrawanemi. Korzonki niezbyt grube, zasadzone w jesieni do głębokich doniczek, dostarczają przez całą zimę świeżej pietruszki na kuchnię.

Trwałe rośliny kuchenne są: szczypiórek albo trybulka, Tymian, Szałwia, Pimpinella, Ruta, którą też można obsadzać dróżki w ogrodzie warzywnym, Estragon często używany do octów, marynat i musztardy, znajduje właściwe dla siebie miejsce.

Z pomiędzy jednorocznych kuchennych roślin najwięcej są w użyciu: Cząber ogrodowy, Koper pospolity, Kerweł albo Trybulka właściwa.

Wszystkie te rośliny zasiewają się bardzo rzadko na rabatach, albo też często wysiewają się same, przez co ich uprawa bardzo jest uproszczona.

M a j e r a n (Origanum Majorana) hoduje się corocznie z nasienia, które się najprzód wysiewa na rozsadniku lub w skrzyni w Marcu i w Kwietniu; potem zaś rośliny przesadzają się w rzędach odległych na 15 centymetrów (6 cali) Skoro się pączki kwiatowe rozwiną, łodygi ucinają się po nad ziemią, wiążą się w małe pęczki i suszą.

Rzadziej już w ogrodach warzywnych napotykamy Bazylię (Ocymum basilicum), której nasiona wysiewają się w doniczkach. Roślina ta dla miłego swego zapachu często się hoduje w doniczkach, jako roślina pokojowa.

To są najgłówniejsze warzywa i rośliny uprawiane w ogrodach na domową potrzebę. Dodać tu jeszcze należy, że liczba ich znacznie może być powiększoną, zwłaszcza pojedynczych ich odmian i gatunków w miarę potrzeby i dostatku miejsca w ogrodzie, który, mały czy wielki, przy odpowiednim doborze roślin, stósownie do gatunku gruntu, przy starannej uprawie, utrzymywaniu w czystości od chwastów, nawożeniu i spulchnianiu ziemi sowicie wynagrodzi wyłożone koszta i pracę.

Rozmaitości.

* **Kot opieczętowany.** O ciekawej przygodzie donoszą z miejscowości Beaure gard w okolicach Paryża, jaka się tamże przy okazyi sądowego opieczętowania jednego z mieszkań wydarzyła. Po dokonanem opieczętowaniu, gdy się już oddalili urzędnicy, usłyszano w mieszkaniu zamkniętem żałosne miauczenie kota. Biedne zwierzę, obłożone dokoła pieczęciami, domagało się wielkim głosem wolności a tu prawo stało temu na przeszkodzie. Posłano po sędziego pokoju, ten jednak oświadczył, iż sam nie był mocen raz przyłożonych odejmować pieczęci, odniesiono się zatem drogą telegraficzną do prezydenta trybunału w Paryżu, który na przeciąg jednej minuty zezwolił drzwi otworzyć. Uwolnienie kota, wedle taksy kosztowało 200 fr., które w drodze składki zebrano między sąsiadami.

* **Królewska Huta** jest najnowszem, lecz co do liczby mie-

szkańców, największem miastem górnoszląskiem, które mianowicie w ostatnich 30 latach ogromnie urosło. Dopiero w roku 1798 huta i pierwsze domy zostały założone. Największe zasługi przy tem zjednał sobie minister Rheden, radzca Wedding i anglik Baildon. W roku 1830 liczyła Huta 660, a 30 lat później dopiero 1076 dusz. Dawniejsza kolonia, do której przyłączono z czasem sąsiednie kolonie i wioski (Nomiarki, Pniaki, Łagiewniki, Klimzowiec i t. d.) została dnia 18. Lipca 1868 wyniesiona do godności miasta. W roku 1885 liczono 29,660, a 5 lat później już 33,991 mieszkańców; między niemi było 29,006 katolików 4159 ewangelików i 836, żydów. Dla katolików wystawiono 1849—1852 kościół św. Barbary i gdy ten nie wystarczył, kościół św. Jadwigi. Z miasta i sąsiednich miejscowości należy 25,000 katolików do parafii św. Barbary, a około 20,000 do parafii św. Jadwigi. Przy każdym kościele są tylko 3 księża ustanowieni, więc można sobie przedstawić ich ogromną pracę. W przeszłym roku został wspaniały kościół w Świętochlowicach ukończony i poświęcony, gdzie obecnie jest 7500 katolików, lecz dotąd nie ma osobnego duszpasterza. Oprócz tego wystawiono w Król. Hucie obszerne zakłady dla sierót i dla chorych, a to wszystko z dobrowolnych składek, chociaż lud ubogi i tyle płaci podatków kumunalnych, a mianowicie na szkoły, jak rzadko na Szląsku. Katolicy Królewskiej Huty zawsze odznaczają się ofiarnością, gdy chodzi o dobrą sprawę lub cele dobroczynne. *J. Piast.*

* **Największym okrętem** na morzu jest francuski pięciomasztowy statek »France,« 301 stóp długi, 49 stóp szeroki i 30 stóp głęboki.

* **Zawarcie traktatu.** Ceremonia towarzysząca ogłoszeniu traktatu zawartego między podróżnikiem niemieckim dr. Zintgrafem a królem afrykańskiego plemienia Bali, była najwymowniejszem symbolicznem określeniem prawdziwego znaczenia tej umowy. Gdy się ludność zgromadziła na miejscu zwykłych zebrań, dr. Zintgraf i jego towarzysz stanęli w środku koła. Król zatrzymał się na uboczu, jak gdyby dla okazania, że ustępuje swego miejsca białym. Murzyn pełniący obowiązki herolda, kazał tłumowi uciszyć się, a gdy szmer ustał, kazano podać żywą kurę. Wśród ogólnej ciszy musiał dr. Zintgraf zgryść kilka ziarnek pieprzu, a wypluwszy je następnie, włożyć kurze w dziób.

Po dokonaniu tego aktu wziął murzyn kurę i obszedł całe koło otoczone włóczniami i puklerzami, rozłożonemi wielkim kręgiem. Dotykając każdej włóczni głową kury, wołał on na głos, że cudzoziemiec, stojący w kole, stał się nie tylko właścicielem ptaka, lecz i wszystkiej broni, zgromadzonej w tem miejscu. Następnie oddano kurę podróżnikowi, a ten podniósłszy ją w górę, roztrzaskał jej głowę o stos kamieni. Ma to oznaczać, że Niemcy uzyskali prawo karania śmiercią każdego, kto w tym kraju broń nosi. Po zabiciu kury dano pięć razy ognia z broni ręcznej, a lud rozszedł się, przyjąwszy z całem spokojem duszy wiadomość, że o życiu i śmierci rozstrzygać odtąd będą cudziemcy.

* **Bezrobocie koni.** Z powodu bezrobocia robotników w kopalniach węgla w Anglii, mnóstwo koni, używanych do robót w kopalniach, stoi obecnie bezczynnie. Większość z nich od lat wielu nie widziała światła dziennego. Wyprowadzone na powierzchnię ziemi, dziwny przedstawiały widok. Niektóre z nich stawały się dzikimi, uciekały i gryzły, inne drżały ze strachu na widok świata, którego oddawna nie oglądały.

ŻARTY.

Szczera odpowiedź.

— No, Maniu, zjadłaś cukierki, a co się robi i mówi teraz?...

— Niech mama da jeszcze!...

„Wzór“ kontraktu.

Pimędzy kapitalist z laski Boże Jojse Krummbein z jedne strone a gospodarz Onufre Wróbel — czekawym mocno, czimu on sza nimo naziwacz „Szperling“ — z Ratajewo Olędrów i onego małżonke Maryszka na drugie strone bul w dzisiejsze dzień punktacjów na kupno oporządzone.

Paragraf jedno.

Onufre Wróbel gospodarz z Szmiechowo (Frajdka) będże sprzedawacz powyższe kupiec i kapitalist swoje żemiów jak stoi i leży z chalupe i obore i wsiskie bidle żiwich i martwe na tin przikłod: proszno krowe, czelno szwinie, plug, oradle, brońke, szedem gęszów i dwa kuszki pszczole i małżonke w spólnoszczi majątek z nim — tego fajn puryc Onufre — żijące za grube pinądz dwa sta i pięcz talari i piędżeszą fenigi.

Paragraf drugie.

Cenów na kupno płacze kapitalist Krummbein sto talari dżisz na stól do ręki Wróbel i malżonke a reszte gdi Wróbel i calkich familjów będże djabel wżąszcz z żemiów i chalupe na co sze on nie gniwo i co w pięcz dniów będże naslowo honor nastąpicz.

Paragraf trzecie.

Procentów od reszta kapitol sze nie będże dawacz — aber Wróbel może na wirażne żiczeniów i na swoją wielką poczeche od moje grube kij dostacz.

Paragraf czwarte.

Oddawane żemiów z chalupke, obore i wsiskie bidle żiwych i martwe dżisz biło nastąpicz na co sze z wielgiem radoszczów i uczeche kwituje.

Zidowskich Leszno der siebzehnte April 1890.

Onufry Wróbel, Krummbein.
Maryanna Wróbel partiku, — ojej.

Wrodzona wada.

Ktoś przejeżdżając przez miasteczko, zapytał burmistrza:

— Dla czego tu wszystkie dzieci chodzą boso?

— Bo się już tak urodziły, proszę pana.

Treść zeszytu 9 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.